



Maurycy Pogorzelski

P i o t r u ś

Piotruś był człowiekiem tak pracowitym, że nie miał nawet czasu na rozbieranie się, wobec czego kładł się zawsze spać w ubraniu, a tylko bez bucików, którymi po zdjęciu rzucał z całej siły o podłogę. Jasna rzecz, że buciki wściekały się i dlatego coraz bardziej marszczyły się z gniewu i chodziły z podniesionymi nosami.

Codziennie rano, wstawszy z łóżka, gotował sobie kawę i, nawet się nie myjąc, by nie tracić czasu, szedł na poszukiwanie pracy.

Gdy tak przeszedł szereg ulic, zbliżało się doń jakieś dziecko i wołało:

— Piotruś! — (a znało go całe niemal miasto...)

Na takie wołanie Piotruś podchodził żwawo, wiedząc, że czeka go jakieś zajęcie i zarobek.

— Moja mamusia się pyta, czy możesz wydestać moją piłkę?

— A gdzie jest ta piłka? — pytał Piotruś.

— Na dachu.

— Czy macie drabinę?

— Nie, ale w sklepie na rogu ulicy...

— Naturalnie... w narożnym sklepie. Wszyscy mówią to samo... i każdy sądzi, że sklepikarz ma drabinę dla sąsiadów.

Jednak Piotruś stawał się o drabinę, wspinał się po niej, szukał po dachu i w końcu stawał na ziemi z piłką w ręku.

— Jeśli pani sobie życzy, mogę oczyścić otwory rynien, które znajdują się w okropnym stanie?

Gospodyni domu korzystała zwykle z nadarzającej się okazji, a Piotruś doprowadzał do porządku nie tylko rynny, ale i cały dach.

Placono mu za to drobnostkę, parę groszy, lecz Piotruś i z tego był zadowolony i szedł dalej szukać pracy.

— Piotruś! — wołał po chwili inny sąsiad — czy mógłbyś przyjść umieścić trzy płyty cementowe na podwórku?

— A ma pan potrzebny materiał?

— Nie, ale można go kupić... — odpowiadano mu.

— A kielnię murarską?

— Można ją wypożyczyć na jakiegokolwiek budowie...

— Każdy śpiewa zawsze to samo, tak, jakby mieli swe narzędzia do waszego użytku...

Wygderawszy się, Piotruś wynajdywał gdzieś kielnię i wykonywał zlecenie.

— Piotruś! Dzień dobry Piotrusiu! — wołała nań w innym znów miejscu znajoma pani. — Dobrze, że cię widzę... Wiesz, dlaczego? Oto drzwi do kuchni, które pomalowałeś, wyglądają gorzej, niż dawniej.

— Ależ, proszę panią!... odzywał się Piotruś łagodnie — jak dawno malowałem te drzwi?

— Nie tak dawno, przypomnij sobie... Dwa lata temu...

— Ależ, co pani mówi! Nie dwa lata, lecz conajmniej cztery... nie też dziwnego. Czy ma pani pędzel i farbę?

— Pędzel... tak jest.. lecz jest już tak twardy...

Piotruś odnowił pędzel, pomalował drzwi, pobielił kurnik, oczyścił gołębnik, naprawił zepsute łóżeczko dzieciinne, a w dodatku musiał się postarać o kwokę, gdyż pani chciała posadzić ją na jajach, by mieć kureczka własnego chowu.

I tak wciąż w kółko zasypywano go zleceniami:

— Piotrusiu, chcesz naprawić ten kurek?... Czy mógłbyś złapać kanarka, który uciekł z klatki? Czy zechcesz przyjść jutro pomóc kucharce oczyścić kuchnię?... Czy możesz postarać się dla mnie o zupełnie białego kota? Czy podejmiesz się przynieść trzy razy dziennie mleko oślicy dla dziecka?..

Takimi mniej więcej pytaniami zarzucało Piotrusia idącego przez ulicę. Przy każdym zapytaniu zatrzymywał się, a potem przynosił, zdobywał, pomagał, naprawiał, polował i wykonywał wszystkie zlecenia. Nie tylko nie był leniwym, ale wręcz przeciwnie — pracował od wschodu słońca aż do zmroku.

W razie potrzeby Piotruś był malarzem, stolarzem, kowalem, murarzem, kucharzem, ogrodnikiem, pomywaczem aut, hodowcą drobiu, blacharzem, monterem, pracując w dodatku w swoim domu jeszcze jako praczek, to znów jako krawiec, ponieważ żył samotnie i musiał sobie pracować i naprawiać bieliznę, przyszywać guziki i t. d.

Ci, którzy go jeszcze nie znali, uważali go za włóczęgę, sądząc go po zniszczonym ubraniu, upstrzonym wieloma łatanami.

W czasie pewnego zajścia ulicznego, w którym zresztą osobiście nie brał udziału, został aresztowany przez policjanta i zaprowadzony do komisariatu policji.

— Przyprowadzam włóczęgę, panie komisarzu! — rzekł policjant, wprowadzając Piotrusia przed oblicze władzy.

— Zaraz zajmijmy się tą sprawą — rzekł komisarz. Jaki jest twój zawód?

— Panie komisarzu, mam wiele zawodów — odparł przestraszony Piotruś.

— Tak, ale jaki jest twój zawód, w którym pracujesz obecnie?

— Ja, panie komisarzu, wstaję bardzo wcześnie, wychodzę na ulicę i robię, co mi każą. Jestem malarzem, stolarzem, kowalem, murarzem...

I jednym tchem wyliczył wszystkie swe zawody.

— Nie może być! — zawołał śmiejąc się komisarz. Niemożliwe, by jeden człowiek znał się na tylu rzeczach naraz...

— A jednak tak jest, panie komisarzu! Prócz tego jestem łowcą szczerów, ponieważ do wielu domów wzywają mnie do tępienia tych niebezpiecznych i groźnych szkodników.

— A ileż ci płacą za twą pracę?

— Ile kto chce. Ja nigdy nie stawiam ceny. Zawsze przyjmuję to, co mi dają.

Komisarz śmiał się przez dłuższy czas i spoglądał zaciekawiony na Piotrusia, podejrzewając go o kłamstwo.

Biedny Piotruś! Podejrzewało go o wstręt do pracy... i o kłamstwo!..

Przykra ta chwila nie trwała jednak długo. Komisarz uwierzył słowom Piotrusia, patrząc przenikliwie w jego poczciwe oczy. Tak skromny człowiek, który nie zarabiał nawet tyle, by móc żyć bez troski, był najpracowitszym w całej dzielnicy, był najbardziej uczynnym dla swoich bliźnich. Komisarz postanowił ulżyć doli biedaka.

— Czy chcesz tu pozostać przy mnie? Czy chcesz pracować w komisariacie jako policjant? Takiego człowieka, jak ty, trudno znaleźć, a mógłby nam być zawsze bardzo użytecznym.

Oczywiście Piotruś przyjął z radością propozycję komisarza i z miejsca objął służbę. Dostał wspaniałą, niepołatany mundur i wykonywał wszelkie poleczone mu czynności jak najstaranniej i ku zupełnemu zadowoleniu komisarza i kolegów. Ponadto służył jako przykład godny naśladowania.

Gdy do komisariatu przyprowadzano jakiegos aresztowanego włóczęgę, komisarz wołał Piotrusia i kazał mu wyliczać wszystkie rodzaje prac, jakie wykonywał przed objęciem służby w komisariacie, poczem zwracał się do włóczęgi:

— Powinieneś się wstydzić, nie mogąc czy nie chcąc oddać się choć jednej z tych prac, jakie wykonywał ten człowiek z największym zamiłowaniem i gotowością.

Wówczas Piotruś ofiarowywał się z gotowością wyuczenia włóczęgi jednego z tych zawodów, na których się znał.

— Zatym albo do pracy, albo do aresztu! — dawał do wyboru komisarz, zwracając się do włóczęgów w energicznym tonie.

I włóczęga nie miał innego wyjścia, jak tylko wybrać jeden z zawodów i wykonywać go według wskazówek Piotrusia.

Wielu leniuchów i włóczęgów nauczyło się w ten sposób zarabiać uczciwie na życie, dzięki nauce Piotrusia i szlachetnemu postanowieniu rozumnego komisarza.



...król Krak w otoczeniu starszyny
siedział...

W jednej chwili Skrzacik był gotów i, usadowiwszy się wygodnie na ramieniu Skuby, ruszył w stronę grodu. Gdy weszli na podwórzec, król Krak w otoczeniu starszyny siedział na wysokim ganku. Był ubrany w piękną szatę bogato lamowaną futrem z mieczem u pasa.

— Zbliź się! — powiedział — gładząc siwą brodę.

Skrzacik powoli wszedł na stopnie ganku.

— Dopomogłeś nam wczoraj do zgładzenia dzikiej bestii i za to otrzymasz nagrodę — rzekł król podając Skrzacikowi parę ślicznych butków z lśniącej skóry. — To są buty „szybkobiegi” zrobione ze skóry smoka.

Skrzacik pochylił się do nóg królowi, dziękując za ten piękny podarunek. Zaczęli się teraz cisnąć do Skrzacika wszyscy chcąc z bliska przyjrzeć się pięknym butkom. Usiadłszy na stopniach ganku Skrzacik zaczął je przymierzać: pasowały doskonale.

— Hej chłopcy — zawołał Skuba — założę się o dzban miodu, że żaden z was nie dogoni małego Skrzacika —

— Dobromir biega najszybciej, niech ściga małego — wołano.

Z tłumu wystąpił zgrabny chłopak i,

śmiejąc się wesoło, stanął koło Skrzacika. Król Krak klasnął w dłonie dając hasło do gonitwy.

Dobromir ruszył jak wicher, a za nim Skrzacik. Z początku biegli równolegle, ale już po chwili Skrzacik zaczął wysuwać się naprzód.

— Niej daj się Dobromir, nie daj — krzyczeli wszyscy.

Skrzacik, widząc, że chłopak chce go wyminąć, zebrał wszystkie siły i gnał jak jeleni, tylko wiatr gwizdał mu w uszach. Leciął nie oglądając się, bo słyszał za sobą pogoń Dobromira. Wpadł do lasu i pędzili wciąż dalej. Skrzacikowi mocno biło serduszko z radości, że on ściga się z dużym chłopcem. A wszystko sprawiły butki „szybkobiegi”. Pędził naprzód nie czując wcale zmęczenia. Aż w pewnej chwili obejrzał się za siebie i o dziwo... nikogo nie było z nim. Zatrzymał się zdumiony. Wokół cicho szumiały stare drzewa. Był sam w lesie. Zawrócił szybko i zaczął biec z powrotem. Biegł długo, ale las stawał się coraz gęstszy, nawet ścieżki nie mógł odnaleźć. Wdrapał się więc na najwyższe drzewo i rozejrzał się ciekawie wokół. Nie dojrzał nic. Jak okiem sięgnąć rozciągał się bór.

(d. c. n.)



Skrzacik gnał jak jeleni...



Bo ja jestem gospodynii spod ponarskich gór,
a za sadem moim szumi wielki, czarny bór.
Mam dom stary, mam piec wielki, blachy
słych, słych w mej krainie między gosposiami.



Dajże garnki, mościa Pyzo, garnków ze
trzydzieści,
bo wspaniałych mych konfitur nie mam
gdzie pomieścić,
osmażonych, opieczonych, w enkre pływających,
sadem, latem, róży kwiatem przesłicznie
pachnących.



Na to Pyza: — moja pani, ja z panią wyruszę
w chmurne strony, w leśne strony, w
leśne piękne glusze.
Siadaj, Pyzo, na bryczuszkę: tara-taj, tara-taj,
jedźcie imość razem z Pyzą w leśny kraj,
w chmurny kraj..

Jak Pyza



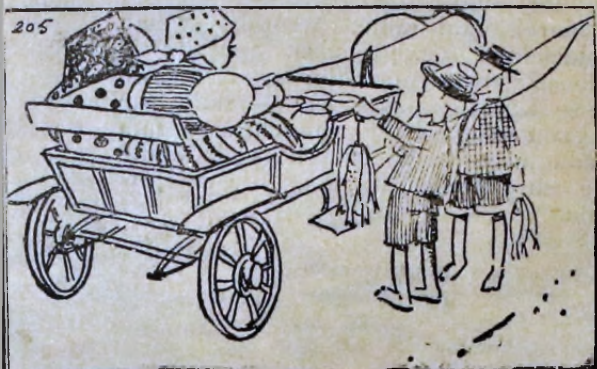
A po drodze jezioro, jezioro szerokie,
a w jeziorze ryby, rybeńki w wodzie
głębokiej.
W trzcinie szumiącej, w szuwarach
chłopcy brodzili,
ku tara-taj, tara-taj, — taratajce z trzciny
patrzyli.
— Niechaj mile panie spojrzą: oto szcu-
pak, oto płoć...
może panie rybki kupią? Mamy dość!

Chłopiec z bi

Na białe mury Rzymu padały złote
gorące promienie słońca. Wysmukłe cy-
prysy i krzewy różane w ogrodzie stały
nieporuszone w ciszy południa. Białe
kolumny domu błyszcząły wśród ziele-
ni i oplatających je krzewów, a z dalszych
części ogrodu dolatywało monotonne po-
krzykiwanie niewolników, pracujących
nad nawadnianiem grzęd. Wysoki mur
oddzielał posiadłość od sąsiedniej, a po
przez dom dochodził gwar uliczny.

Niewysoki szczupły chłopiec o kędzie-
rzawych, krótko przyciętych włosach
brązowej twarzy, w której błyszcząły sil-
nym ogniem ciemne oczy — odłożył nie-
cierpliwym ruchem zwój czytanej książki
wstał z kamiennej ławy pod krzewem, po-
krytym silnie pachnącym kwieciem i
przeciągnął się, wyprężając silne, musku-
larnie ramiona. Miał dosyć nauki. Może-

wędrowała



Mamy dość! —
 Oj, nakupiła paniusia rybek! Oj,
 nakupiła!
 Aż się od łusek mała bryczuszka pięknie
 srebrzyła!
 Kiedy przybyły pod dwór szeroki późnym
 wieczorem,
 panek gębaty, księżyc srebrzysty stał nad
 jaworem.
 Psy się zbudziły. Zabrział pod księżyc
 szczekliwy chór:



— Hej taratajką wraca paniusia pod stary
 dwór!
 Paniusia drepce, paniusia szepce.
 Wreszcie powiada:
 — Nie pora spocząć, nie pora usnąć, nie
 pora siadać.



Mam przecież skwarzyć, mam przecież
 smażyć bujne owoce,
 a gdy mam smażyć — nie dbam o księżyc,
 mroki, ni noce! —
 Księżyc na niebie, księżyc na niebie
 z gwiazdkami gwarzy,

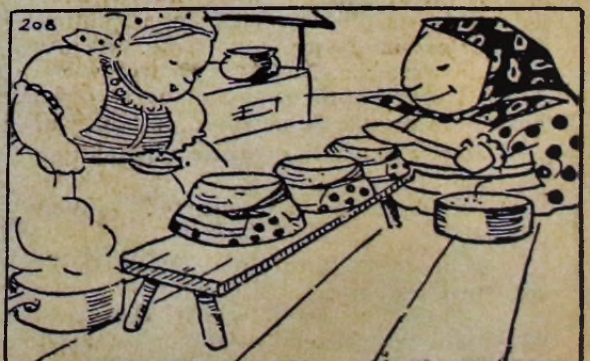
iałego Rzymu

by tak pobiec na pole Marsowe, gdzie
 można pograć w piłkę z przyjaciółmi?.

Nagle zaczął nadsluchiwać. Ależ tak!
 Ktoś usiłuje wejść na mur od strony prze-
 ciwnej. Chłopak przeskoczył szeroki tra-
 wnik i zręcznie zaczął wspinać się na
 mur po pnących się na nim cienkich ga-
 łązkach. Jednocześnie prawie nad mur-
 em wyjrzały dwie ciemne głowy o błę-
 szczących oczach. Chłopcy spojrzeli na
 siebie i roześmiali się. Potem usiedli
 naprzeciwko siebie okrakiem na murze.
 Gość z za muru miał łagodny wyraz ust i
 ogromne, isniące oczy, a gospodarz pię-
 nego ogrodu — czujne, uważne oczy pod
 zsuniętymi brwiami.

— Witaj! pozdrowił towarzysza — Z
 czym przychodzisz?

(Dokończenie na str. 6)



a w wielkiej kuchni, w stareńskim dworze
 owoc się smaży.
 Gdy się usmażył, kładą go łyżką w słoje
 i w szklanki
 i w małe garnczki, bardzo zdobne —
 zwane: „pyzianki”.

— Witaj, Kajusie!.. Czy pójdiesz ze mną na pole Marsowe? a może na forum? tam jest tak gwarno i ciekawie!

Kajus nie odpowiedział. Zmarszczył brwi i podniósłszy się na murze śledził coś, co działo się na ulicy. Między tłumem przechodniów w białych i ciemnych togach i płaszczach, między czarnymi i białymi niewolnikami w kolorowych krótkich tunikach bez rękawów — kłębiła się w pyłe białej ulicy gromada chłopców.

— Spójrz, Mańku! banda Lucjusa znów napadła naszych! Chodźmy!

I Kajus odważnie pobiegł po murze aż do rogu, który dochodził do ulicy. Chwilę spoglądał bacznie na bijących się chłopców, a potem wydał okrzyk wojenny i śmiałym skokiem wpadł w sam środek walczących.

— Kajus! Kajus! Imperator! — powtały go radosne okrzyki.

Silne, brązowe pięści chłopca pracowały żywo, to też wkrótce kilku wyrostków, którymi przewodził wysoki, szczupły chłopiec z ognistym spojrzeniem — wycofało się z pola walki.

Zwycięzcy obwieścili swój triumf i wdrapali się znów całą teraz gromadą na mur.

— Musimy nauczyć tamtych rozumu — mówił jeden. — Urządź wojenną wyprawę Kajusie.

— Tak! zrobimy podbój ich łąki za bramą.

— Dobrze! chodźcie do ogrodu, przygotujemy plan.

Na ogrodowej ścieżce Kajus rysował plan stanowisk.

— Tędy ty pójdiesz, Marku, a tutaj ty się zaczaisz, Sergiusie, Septimus zabiegnie im drogę, bo napewno właśnie tędy będą starali się wymknąć, a Publius tu będziesz miał swe stanowisko. A ja... Ja będę wszędzie. Wódz musi być wszędzie. Dobrze opracowany plan i szybkość — to prawie że pewność zwycięstwa.

Chłopcy słuchali uważnie, potakując głowami.

— Kiedy zatem wyruszamy? zapytał Marek.

— Oh, zaraz, naturalnie! Teraz Lucjus nie spodziewa się napadu.

— O, Kajus! jesteś wielki! Ty jesteś prawdziwym wodzem! — szepnął w podziwie Marek.

Kajus podniósł dumnie głowę.

— Wodzem?... Tak, chciałbym być wodzem. Chciałbym urządzać dalekie wyprawy, walczyć z dzikimi ludźmi, mieć na swe rozkazy tysiące żołnierzy, podbijając

dalekie ziemie i rozszerzać nasze państwo rzymskie. Ale — nie wiem, czy moje marzenia się spełnią.

— Spełnią się, Kajus! ja już widzę cię na czele wojsk, zdążającego do takich ziem, gdzie nie stanęła jeszcze noga Rzymianina.

— Może!.. Ale teraz dalej, chłopcy, bo Lucjus opuści swój obóz za bramą...

Marek miał rację, wróżąc swemu przyjacielowi sławę wodza. Spełniły się co do joty marzenia chłopca. Nazwisko jego — **Kajus Julius Cezar** — stało się jednym z najbardziej znanych, a on sam — jednym z największych wodzów nie tylko starożytnego Rzymu, ale dziejów świata.

HELENA DAWIDOW

Żaby

Żaby długo myślały
jak zwalczyć bociana,
by się w końcu pozbyć
straszego tyrana.
Gdy wieczorem rehoczą
biedne żabki w stawie,
straszny bocian je zjada —
wszystkie zjada prawie.
Po namyśle długim
jedna z żab powiada —
przecież naszych żabek
tu spora gromada,
gdy bocian się zbliży —
napadnięm na niego,
żab tyle zwycięży
bociana jednego...
Lecz zawiodły się srodze
nasze żabki mile —
gdy spostrzegły bociana
opadły ich siły...

Aleksander Anik-Nikończuk

Leguński pałac

Przyjacielu mój twardy!
Jam nad życie cię kochał
W służbie krwawej i hardej...
Pociemniałeś już trochę,
Mając kąć ocheadożny,
Spokój ciszą brzemienny...
Bedziesz znówu płomienny —
Trud ofiarny i zbożny
Kiedy porwie nas władnie!..
Poczekajmy — no trochę!
Może trąbka zaszlocha,
Może rozkaz: — „W bój” —
padnie...

Na bezludnej wyspie

DNIA 1 SIERPANIA

Jaki ten Jasiek śmieszny! Twierdzi, że nie damy rady i wrócimy po dwóch dniach do domu i że robinsonowskie życie to nie dla dziewczyn. Ale dla czego, ciekawam bardzo? Otóż przekona się! Dziś wyruszamy, ja i Hanka. Płyniemy łodzią w dół rzeki aż do tej puste, gęsto zalesionej wyspy. Tam rozbijamy namiot i mieszkamy przez dwa, czy trzy tygodnie same, co kilka dni robiąc wypadki po zapasy. Zresztą będziemy łowić ryby i strzelać kaczki, a i owocowe drzewa są na wyspie. Bardzo się cieszył Nie bierzemy książek — tylko nasze pamiętniki, wieczne pióra i zapas atramentu. No, i naturalnie całą moc rzeczy „gospodarskich”: patelnie, rondelki, namiot, koce, sztucer, wędki, noże i wiele innych rzeczy. I oczywiście aparat fotograficzny. Nie mam czasu pisać, bo trzeba iść pakować nasze zapasy.

DNIA 2 SIERPANIA

Jesteśmy na wyspie. Jest cudnie. Czujemy się, jak prawdziwe „robinsonki”. Rano pływałyśmy, potem szykowałyśmy obiad. Ja łowiłam ryby, a Hanka wypłynęła na polowanie łódką. Coprawda wróciła z niczem, a ja złapałam tylko trzy karpiki, z których jeden spadł z patelni

Żniwa

Słońce zbliża się ku zachodowi. Skrzętni żniwarze i żniwiarki podważają siły, aby zebrać i związać ostatnie snopy. Na ściernisku stoi już wóz naladowany. Ostatni snop nań pada. Woźnica trzaska z bicia, a konie zaczynają ciągnąć. Z początku wóz toczy się po małym, gdyż jedzie po miękkiej roli, lecz dalej, po twardej drodze, posuwa się szybko. Konie raźniej biegną, śpiesząc do domu. Na wozie siedzą dziewczęta i chłopaki, śmieją się i głośnie okrzykami radości witają gospodarza i gospodynię. Przez otwarte wrota wóz wjeżdża na dziedziniec i zatrzymuje się przed stodołą. Dziewczęta zeskakują z wozu, stają rzędem i przyjmują snopy, które im chłopcy rzucają. Snop przechodzi z rąk do rąk aż do stodoły. Wyprzegają teraz konie. Gospodyni daje ludziom wierzch, a woźnica prowadzi konie do żłobu, napełniającego obrokiem.

w ogień i spalił się na węgiel, ale i tak obiad był wyśmienity i strasznie wesoly. Dokazujemy, jak małe dzieci, i śmiejemy się, aż nas wszystko boli. Z byle głupstwa. Po południu urządziłyśmy w dalszym ciągu i ozdabialiśmy nasz obóz. Na kolację miałyśmy chleb, przywieziony z domu, z szynką (też z domu, oczywiście). A teraz obie piszemy przy świetle ogniska. Jest cicho, ciepła noc, w wodzie spokojnej, jak szkło, przeglądają się gwiazdy i jest cudownie! cudownie! Co za pyszny pomysł miałam z tą wyspą!... Hanka w tej chwili pyta mnie, co ja właściwie myślę o ludziach. Kończę pisać. Położymy się teraz i, patrząc w gwiazdy, będziemy rozmawiać poważnie. O wszystkim. To chyba wejdzie w zwyczaj w czasie pobytu na naszej wyspie.

DNIA 4 SIERPANIA

Wróciłam właśnie z polowania. Z pustymi rękami. Co do licha jest z tymi ptaszyskami? Od wczoraj żywimy się chlebem i zaczyna go być bardzo mało. Do zapasów dobrały się mrówki. Hankę ugryzła pszczoła w rękę, a mnie się zaczyna robić jęczmień na oku.

DNIA 5 SIERPANIA

Okazało się, że zapomniałyśmy zabrać masła i nie mamy na czym smażyć ryb. Są paskudne!... Hanka wysypała dziś w piach herbatę. Upolowałam dziś kaczkę, ale się przypaliła. Hankę boli ząb i siedzi zła pod namiotem.

DNIA 7 SIERPANIA

Patrzę na jedno oko, bo na drugim jęczmień, jak groch. Pada deszcz.

DNIA 8 SIERPANIA

Wszystko jest przemoczzone. Jestem głodna. Co za głupi pomysł miała Hanka z tą wyspą! Ona by co mądrego wymyśliła!..

DNIA 9 SIERPANIA

Leje. Siedzimy pod namiotem.

DNIA 10 SIERPANIA

To samo. Jeść mi się chce.

DNIA 10 SIERPANIA

Wracamy od domu. Ten deszcz chyba nigdy nie przestanie. Pakujemy się.

DNIA 12 SIERPANIA

Jesteśmy w domu — suche i najedzone. Oko już nie jest zapuchnięte, ząb Hankę przestał boleć i deszcz już nie pada. Jest cudnie . . .



Nad morzem

Adres „Krasnoludków“: Redakcja „Nasze Życie“, Riga – Dzirnau 57, „Krasnoludki“